

BIUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Eliszka Krasnohorska.

Ostatnie dziesięciolecie w Czechach obfituje w uroczyste rocznice najświetniejszych i najzasłużeńszych kobiet, tak na polu literatury, jakoteż na niwie prac społeczno filantropijnych.

W 1890 r. obchodzono 60-tą rocznicę urodzin sławnej powieściopisarki Joanny z Rottów Mużakowej, piszącej pod pseudonimem Karoliny Świetli. Należała ona do nielicznego kółka ówczesnych patryotek czeskich, a ponieważ przemawiała w duchu rozbudzenia uczuć i poglądów patryotycznych, nazywano ją „Pierwszą uświadomioną Czeską,” gdyż była ona rzeczywiście jedną z pierwszych, które przebudziły się z uspienia niemieckiego i pojmowały, jakie obowiązki względem ojczyzny na nich ciąży.

W trzy lata później t. j. 1893 r. święcono znowu 60-te urodziny siostry Świetli, Zofii Podlipskiej, która jest także płodną pisarką i wielkiego serca kobietą.

Uczczono ją też licznymi życzeniami ze wszech kończyn ziemi Czeskiej i Morawskiej, a między przysłanymi adresami były także dwa piękne od Polek z Królestwa.

Nakoniec dnia 18 listopada b. r. wysoce utalentowana poetka i wogóle niepospolita kobieta, Eliszka Pechowa, znana w całym świecie literackim jako Eliszka Krasnohorska, kończy lat 50 wieku. Równocześnie upływa 26 letni jubileusz jej pracy. Sposobności tej użyli Czesi, aby wyrazić uroczyste ulubionej poetce i uwielbianej przez



Eliszka Krasnohorska.

nich kobiecie, serdeczne życzenia, które przepełniają ich serca. Do adresów, pieśni i kompozycji muzycznych na jej cześć ułożonych, dodali znaczną kwotę pieniężną do jej rozporządzenia na instytucje, któremi się opiekują.

Zaiste trudno niezmiernie przedstawić i ocenić działalność tej nieporównanej istoty, gdyż praca jej rozpada się na wiele działów, a w każdym kierunku jest doskonałą. Czy weźmiemy ją jako natchnioną poetkę, która przesłanicznym wierszem budzi miłość ziemi rodzinnej, lituje się nad jej cierpieniami, drży o jej bezpieczeństwo, wspomina jej świetną przeszłość i marzy o dorównywającej przyszłości; czy zastanowić się zechcemy nad cudnymi opisami natury, które tylko prawdziwie kochające serce wysnuć z siebie może, czy wreszcie zbadamy ostrą satyrę, w której chłoszczę wady i występki bliżej i dalej trafiające się na świecie: zawsze wychodzi zwycięzko.

Do pierwszego rodzaju prac Krasnohorskiej należy zbiór poezji wydany pod tytułem: „Z maje žiti“ (Z maju życia) 1871 r. Praca ta zyskała sobie powszechnie uznanie, bo tryskał z niej niezwykle talent, którym wielką myśl ubrała w czysty język i wyrobioną formę, jaka wówczas jeszcze była rzadkością.

Pokrewne co do treści są zbiory pod wspólnymi tytułami „Vlny w proudu“ (Fale w prądzie) i „Letorosty“ (Latorośle). Do tegoż rodzaju zaliczyć można tom poezji „Do Słowian południowych“ napisanych przez Krasnohorską na wezwanie Świetli, a opiewający cierpienia tych ludów. Następnie wydany tom p. n. „Ze Sumawy“ (Z Szumawy), choć także przejęty na wskroś duchem patryotycznym, odznacza się jednak przede wszystkim pięknymi opisami przyrody.

W „Bajkach wielkich“ wyszłych 1889 r. Krasnohorska występuje jako filozof myśliciel. Z przenikliwością swego bystrego umysłu spostrzegła braki narodowe i wszechludzkie i zapragnęła im zapobiedz. W jednych ukrywa się myśl pod alegoryą—z innych rzuca poetka strzały ostrej satyry, którą oblała gorącym pragnieniem poprawy. A z wszystkich bije jasna jak kryształ prawda, bo ta jest jej ideałem.

Niewyczerpana w talencie swym Eliszka tworzyła libreta do oper jak „Tojemstwi“ (Tajemnica), „Certova stena“ (Czartowa ściana) i „Hubicka“ (Pocałunek), (przerobiony z powieści Karoliny Swietli), na żądanie Bedrzycka Smetany: „Lejla“ do muzyki Bulwera, „Karel Skreta“, „Ditě Tabora“ (Dziecię taboru) Karola Bendla, „Blanik“ Zdenka Fibicha i prześliczny przekład „Carmen“ Bizeta, które to prace pod względem literackim mają takąż wartość jak pod względem muzycznym. I nie dziw, że Krasnohorska podolała należycie tak trudnemu zadaniu, gdyż sama wysoce muzyczna, odczuwała doskonale myśl kompozytora, a nawet przezuwała ją naprzód. Ta wspólność myśli dwóch bratnich dusz ujawniła się szczególnie przy pisaniu libretta do Hubicki, do którego potem dorobił Smetana muzykę.

Dziwnym trafem Krasnohorska odnajdowała w niej melode, które snuły się jej w myśli podczas opracowywania treści.

Zdaje się, iż natura wprost wysiliła się, obdarzając jedną osobistość tak hojnie i we wszystkich kierunkach, bo Krasnohorska zna się na malarstwie i sama kiedyś pięknie malowała, dopóki artretyzm nie wytrącił jej pendzla z ręki.

1883 roku napisała Krasnohorska idylę „Vlast'oviczky“ (Jaskółki) należąca do klejnotów literatury czeskiej. Zdaje się ona być utkaną z zory ludzkiego szczęścia, z najjaśniejszych promieni miłości, za którymi idzie ciemna chmura leż i zaparcia się siebie. W tej pięknej formie obrabia Krasnohorska kwestyę społeczną czy mężczyzna, mający obowiązki ojcówstwa względem nieślubnego dziecka ma prawo zawiązywać życie rodzinne z inną kobietą? A wysoce obowiązkowa i ujmująca się za krzywdą niewinnej istoty poetka—każe mu się zwrócić do obowiązku sumienia.

I w dziale dramatycznym mogą się poszczycić Czesi udatnymi pracami Krasnohorskiej, jak: obrazek „Pévec volnosti.“ (Śpiewak wolności) tragedia „Horantova žena“ (Żona Haranta) oznaczony na konkursie 1881 r., dramat „Dědic ducha“ (Spadkobierca ducha) z powodzeniem grywany i komedia „Nasz druchy zbor“ (Nasz drugi chór), (który następnie przerobiła na powieść), świadczą o talencie jej w tym kierunku.

W różnych czasopismach i zbiorowych wydaniach wyszło też wiele udatnych powiastek i nowelek z rodzinnego i społecznego życia czerpanych, między którymi wesołym humorem odznacza się „Poeta i poeta.“

Do tegoż działu zaliczyć należy liczne powiastki, bajki dla dzieci, bo pomimo tak rozległej działalności piśmienniczej, kochające serce Krasnohorskiej uczuwało potrzebę poświęcenia swego pióra młodzieży, w której Czesi pokładają nadzieję i na której budują przyszłość swego kraju.

Nie poprzestając na pedagogicznej działalności względem młodzieży, Krasnohorska zapragnęła dopełnić braki w wykształceniu dorosłych, przekonawszy się że Czesi za skąpe mają wiadomości z życia współczesnych pisarzy, napisała cały szereg życiorysów z ocenami literackiej działalności: Kajetana Fyla, Vitěslawa Halka, Karoliny Swietli, Bożeny Nemcowej, Nerudy, Swatopluka Czecha, Vrchlickiego, Sladka, Podlipskiej, i muzyków Bedrzycka Smetany oraz Rendla. Prócz tego podnosiła ona doraźne kwestye czasowe z dziedziny estetycznej, etycznej, socyalnej, kobiecej i patriotycznej, na temat których liczne artykuły drukowały różne pisma, a zwłaszcza „Žeńske listy“, których redakcyę w 1875 r. objęła.

Na nowem stanowisku, jak wszędzie, zaczęła działać Krasnohorska z całą gorliwością, ażeby

zbudzić kobiety z długotrwałego letargu, wezwać do czynu i wskazać drogi do osiągnięcia celu służące, którym jest równouprawienie wszystkich obywateli Czech, tak synów jak i córek, któreby potem pracować mogły dla dobra wspólnej ziemi.

Gdyby Krasnohorska nie napisała nic oryginalnego to—dość wielką usługę oddała by literaturze ojczystej, przyswajając jej prace obcych autorów. Do nich należą przede wszystkim przekład Pana Tadeusza Mickiewicza, Child Harolda Bajrona, części króla Siońskiego Hamerlinga, oraz wielu utworów Puszkina.

Tłumaczenia te nie ustępują pod względem opracowania oryginałom.

Widzimy z tego, że wszystkie działy literatury są przez Krasnohorską uprawiane i zawsze z dobrym skutkiem. Niektórzy zarzucają jej, że tendencya patriotyczna, którą obrabia w swych poezjach, a która przebiega też ze wszystkich rodzajów jej prac, nie zdaje się być dość wzniosłym przedmiotem dla sztuki.

Widocznie jednak ona, która ideę patriotyczną postawiła sobie za cel życia, nie miała miejsca czy czasu w swem sercu do uprawiania i odczuwania miłości innej. Słusznie powiada o niej Wilma Sokolowa, że Krasnohorska zna jedną kochankę—ojczyznę i jednego kochanka—swój naród.

Najnowsze poezye Krasnohorskiej zebrane w dwa tomy „Na żywe struni“ (Na żywej strunie) i Rozpominki (Wspomnienia) wyszły w roku zeszłym. Ale wiele jeszcze poezyi zwłaszcza satyrycznych i filozoficznych, rozrzuconych po różnych pismach, oczekuje osobnego wydania tak jak niemniej liczne rozprawy i uwagi.

Tyle o Krasnohorskiej jako o poetce i pisarce. Przystąpny teraz do drugiej części działalności tej dzielnej kobiety do działalności jej na niwie społeczno-filantropijnej.

Ona to, odczuwszy upośledzone położenie kobiety w społeczeństwie, zwłaszcza czeskiem, gdzie tyloletni wpływ niemiecki zrobił z niej tylko gospodynię i niankę i, zbadawszy przyczyny, dla których kobiety, biernie w niem trwają—postanowiła szukać dla nich lekarstwa, a znalazła w odpowiednim kształceniu kobiet.

Nie poprzestając na słowach zabrała się do czynu.

Przedewszystkiem objęła, po usuwającej się z powodu choroby Swietli, kierownictwo założonego przez tę ostatnią stowarzyszenia „Žeńsky vyroben spolek.“ Stowarzyszenie to mające na celu usposobienie kobiet do pracy i dostarczanie im takowej,—założyło szkołę z kierunkiem przemysłowo-handlowym. Przez czas dwudziesto-sześćoletniego swego trwania wykształciła ona przeszło 12 tysięcy kobiet, którym względnie byt zapewniła.

Licznie uczęszczana ta szkoła mieściła się do niedawna w najętych lokalach, które, pomimo drogiego komornego, były ciasne i niewygodne.

Nowa przewodnicząca wzięła sobie za zadanie wybudować własny dom dla szkoły. Po wielu latach pracy i zabiegów dokonała nareszcie Krasnohorska swego dzieła ukończywszy w 1896 roku, wspaniały gmach oceniony na 100,000 guldenów.

Drugą wielką jej zasługą jest utworzenie 1890 r. stowarzyszenia „Minerwy“, którego zadaniem szerzyć wyższe wykształcenie między kobietami. W tym celu, zawsze głównie prywatnymi środkami z pomocą małych stosunkowo ofiar od kasy oszczędności, banków, lombardu miejskiego, otworzyła szkołę odpowiadającą 4 wyższym klasom gimnazjum męskiego. Praca ta uwieńczoną została znakomitym skutkiem, bo Minerwa, chociaż dotąd z powodu braku funduszu na prowadzenie wszystkich klas równocześnie, a więc ograniczającą się zawsze tylko dwiema—doprowadziła już dwie serye swych uczennic do egzaminów dojrzałości (matury) poczem, chcąc się poświęcić medycynie i filozofii, pomyślnie wprowadziła do przybytku uniwersyteckiego w Pradze.

Wywalczenie wstępu na uniwersytet Czeski zawdzięczają znowu wytrwałym staraniom Krasnohorskiej. Jej też inicjatywą były pierwsze

petycje do parlamentu o prawo wolnego głosu wania dla kobiet. Dziś koło dzielnych Czeszek znacznie się rozszerzyło, duch postępu i pracy ogarnął cały kraj i prawie nie ma zakątka w Czechach, gdzieby nie było świadomych swego położenia w kraju i społeczeństwie kobiet, bez względu na warstwę społeczną, do której należą. Zasługa rozbudzenia tego prądu należy się w przeważnej części wstępnemu, lecz silnej duchem Eliszce Krasnohorskiej.

Wszelką pracę tak literacką jak społeczną utrudnia Krasnohorskiej choroba, która trapi ją od lat 30. Jest nią artretyzm, często dochodzący do tego stopnia, że pisze z trudnością, nie więcej nad arkusz dziennie, lub wcale piórem władać nie mogąc, wyręczać się musi sekretarką. A tu prócz pracy piśmienniczej, zawodowej, jest do załatwienia mnóstwo korespondencji z osobami przychylnymi popieranym przez nią sprawom, z różnemi stowarzyszeniami, które jej rady potrzebują, nie licząc już prywatnych stosunków. Setki tych listów i wszystkie interesa, od których egzystencya instytucji zależy, załatwia Krasnohorska osobiście. Uciążliwe te zajęcia nie przeszkadzały jej do spełniania obowiązków kochającej córki, która zwłaszcza przez ostatnich lat kilka z największą troskliwością pielęgnowała staruszkę niewidomą matkę.

Jako wierna córka kraju, sprawy czeskie przekłada Krasnohorska nad wszystkie inne. Dlatego też nie brała nigdy udziału w żadnych zjazdach zagranicznych, twierdząc, że przede wszystkim należy urządzić dom własny, a potem udawać się w odwiedzin. Ona nawet dla poratowania zdrowia nie chce wyjeżdżać za granicę, dowodząc, że wstyd było by szukać lekarstwa gdzieindziej, kiedy w Czechach jest taka obfitość najróżnorodniejszych wód leczniczych, do których zjeżdżają się po zdrowie z całego świata.

A skoro jej miejscowe wody nie pomagają, uważa chorobę za tak posuniętą, iż jedynie cierpliwość i silna wola jest na nią lekarstwem.

Lekarstwami też temi szafuje bez miłosierdzia. Zaczyna ta i zasłużona pani przy bliższem poznaniu jest niezmiernie sympatyczna i dobra. Szczera, skromna nad wyraz, uprzejma, dobrze dla ludzi usposobiona i pełna ufności w przyszłość, niezwykle miłe robi wrażenie i największych pesymistów weselej usposabia.

Po zamienieniu kilku zdań wydaje się ona dawną, dobrą przyjaciółką i jest nią rzeczywiście. Sprawy polskie, jako pobratymcze, obchodzą ją serdecznie, pilnie też śledzi ich przebieg, z nami razem martwi się i pociesza, współczując nam szczerze. To też jej jubileusz i w naszych sercach znalazł gorący oddźwięk, który gdy ją doleci, niechaj zacna kobieta i wielka poetka odczuje, że ją czcimy i kochamy z naszej oddali.

Antoszka.

W RÓŻACH

przez

El. Krasnohorska.

Gdy umrę, wy mnie nie chowajcie
Pod niemy, nudny, ciężki głąz,
Lecz łoże me w zielonej darni
Niech róż ozdobi cały las.

Chcę słodko drzemać jak w marzeniu,
W koło niech buja życia kwiat,
A róże w pełnem rozkwitnieniu
Niech grobu mego znaczą ślad.

Chcę, aby wieniec splatał sobie
Wędrowiec, moją nucąc pieśń,
Nie żeby czytał na mym grobie
Imię w żalobną wryte pleśń.

Wszak serce me kochało wrzące
Wszystko co w życiu urok ma,
Nie chcę więc mieć to „ach“ płaczące,
Niech na mym grobie wiosna trwa.

Ja tam kamieni nie żądałam,
Sporo ich miałam z biegiem lat,
Ale je mądrze omijałam
Zrywając chętnie róży kwiat.

Na drodze inni narzekali
Że głąz im leżał wszecz i wzdłuż,
Zazdrośnie na mnie wciąż łajali,
Że miałam ręce pełne róż.

A idąc tak drogą żywota,
Nieśliśmy każdy własny siew,
Ja niosłam pełne ręce kwiatów,
Oni kamienie, żal i gniew.

Jacy bądź byli, na nikogo
Kamienia nie rzuciłam w lot
Bo czułam już, że czasem boli
Cierń róży w sercu tak jak grot.

A jeśli nawet serce moje
Ciężyło w piersiach mi jak głąz,
To jeszcze w niem kwitnęły róże,
Chodziłam w nich w najcięższy czas.

Oh, nie przywalcież mnie kamieniem
Gdy spocznę w moim grobie już,
Ja wam za życia słałam róże,
Wy mi po śmierci dajcie róż.
Tłom. Szczęsna.

Eliszka Krasnohorska.

KRZYŻ W LESIE.

I.

Pod cieniem drzewa, w gęstym ciemnym lesie
Kręta drożyna się wije,
Echo z oddali odgłos kroków niesie, —
Czyjeż to kroki, ach, czyje?

Na skraju lasu stoi krzyż drewniany,
Buk go otoczył ramiony,
A u stóp krzyża mech świeżo zdeptany
Ktoś klęczał, — choć mech zroszony...

Przyjmij, o Panie, duszę utęsknioną,
Co w górę ze smutkiem płynie; —
Ześlij anioła z pociechy koroną
Niech nad nią skrzydła rozwinie.

Jeżeli dziecko, które nie zaznało
Pieszczoty ojca i matki,
Niech je otoczy swoją szatą białą,
Najświętsza, co tuli dziatki.

Jeżeli starzec, co pożegnał wnuka,
Gdy szedł kraj piersią zasłonić, —
W męztwie młodzieniec niech pociechy szuka,
By w smutku mógł się ukoić.

Jeżeli matka, co za zmarłe dziecko
Woła do Pana nad pany,
Daj jej, o Panie, by w modlitwy kwiecie
Znalazła balsam na rany.

Jeśli dziewica, której dusza chora,
Niechaj z słowami pacierza
Do chorej duszy tak spłynie pokora,
Jak łza, co bóle uśmierza.

Ktokolwiek modły zanosi u krzyża,
Łączę z nim łzy me gorące,
Bo znam cierpienie, które ludzi zbliża
Jak wiatr ogniska płonące.

II.

W lesie krzyż, — na nim wisi Boża Męka,
Z prostego drzewa sklecona,
Znać ją rzeźbiła nieudolna ręka,
Z wiarą do nieba wzniesiona.

A za sklepienie tej Bożej świątyni,
Buki splecione tam w górze,
A zamiast dzwonów śpiew małej ptaszyny,
Co w leśnym świergota chórze.

Miasto kadzideł, kwiat w porannej zorzy
Śle wonność swoją w niebiosy;
Miasto świec błyszczą ów robaczek Boży,
Co świeci w trawie wśród rosy.

Czasem pieśń spłynie, hen, z dalekiej strony,
Las rozteśkniony odpowie, —
Drzewa pochyla cieniste korony
Wiatr szumem w blizkiej dąbrowie.

W cudach przyrody świat cały zamknięty,
Wielki w swoim cichem życiu, —
Wśród srogiej zimy spoczywa nietknięty,
A podczas wiosny w rozwiciu.

A ta prostacza, wielka służba Boża
Jako kwiat wonny rozkwita,
Lecz czoło schyla u tronu podnóża
Spokojem wiary spowita.

Czasem z siekierą w spracowanej dłoni
Wyrobnik wśród lasu kroczy, —
Przed Bożą męką siwą głowę skłoni,
I wzniesie ku niebu oczy.

Czasem podróżny odpocznie u krzyża,
Przełamie czarny kęs chleba,
Lub wóz powoli z turkotem się zbliża, —
Sanie, — gdy śniegi sła nieba.

Lub też cienistym chłodem przywabiony,
Przechodzień głowę swą złoży,
Wsłucha się w ciszę, co go swemi tony
Kołysze jako duch Boży.

I grzesznik wnuknie w duszę swą zbrudzoną
Pośród tej wielkiej świątyni,
I światłem wiary nowo odrodzoną
Bielszą nad śniegi uczyni.

Świątynia prawdy, to świątynia Boga
Co pośród przyrody tleje,
I nowa ludom otworzy się droga
Przez miłość, wiarę, nadzieję,

Tłomacz. Z. Morawska.

Przyjęcie na Parnas

napisała **E. KRASNOHORSKA,**

przełożyła

ANTOSZKA.

Poezi i poetki w przyszłości, pierwsze swe wiersze snujące talenty! Niezliczony zastęp wasz wiecznie powtarza oklepaną bajkę o czerwonym kapturku.

Wielkie dzieci, które czujecie w sobie zarodki geniuszu nowych Walter Scottów, Wiktorów Hugo, Turgienjewów; talenty rzeczywiste i mniemane skoro u podnóża stromego Parnasu potknęcie się o kamień przeciwności, nie będąc tam tak powitani, jakbyście pragnęli zaraz — prawie wszyscy, zarazliwym upodobaniem, powtarzacie stary myt, starszy niż podanie o morskim wężu, bajkę spowszedniałą o literackiej zazdrości. Twierdzicie z uporem, że znani literaci dla tego tylko odrzucają lub ganią pracę waszą, iż nie chcą być przez młode talenty zaćmieni. Od pierwszego wystąpienia macie się za niebezpiecznych rywali starych przodowników. Ale nie bierzcie do serca tego młode dusze, naprawdę zdolne, czystem natchnieniem obdarzone, a z powagą spoglądające na surowe nieprzystępne szczyty Parnasu. Wam zazdrość uznanych poetów nie będzie stawiała przeszkód, przeciwnie, im zdolności wasze wybitniejsze, im szersza wasza praca, tem chętniej będziecie witani.

— Ona należy także do cechu, westchnie niejedna smutnie pochylona główka i z niedowierzaniem przerwie czytanie.

Tak, należą do tegoż cechu, ale wszakże nie urodziłam się jako uprzywilejowana, drukowana i przez krytykę chwalona poetka; musiałam i ja jakoś do cechu się wpisać, a jak się to stało opowiem.

Pierwsze wiersze napisałam na cześć ulubionego kota, któremu podczas wakacji, gdy rodzicielstwo moje się rozjechało, w mem towarzystwie się widocznie przykrzyło, bo żałośnie miauczał bez ustanku.

Na rozweselenie zaśpiewałam mu piosenkę własnego utworu, w której wychwalałam jego futerko, wąsy i wszystkie inne powaby. Piosenka moja miała powodzenie: podobała się wielu, a może nawet i samemu bohaterowi. Moja sława improwizatorska byłaby się rozchodziła coraz dalej, gdyby nie została zaćmiona przez młodszą siostrzyczkę, która nadspodziewanie ułożyła także na tegoż kota balladę. Ponieważ epos najczęściej zwycięża lirykę, więc i o mojej pieśni zapomniano. A zatem, powołani młodzi poeci, nie fundujcie sobie na swych pierwszych utworach, bo oto i mój pierwszy wiersz, jakkolwiek przeczuwacie jego piękno, nie wkupił mię do cechu literackiego. A jednak byłam już pensyonarką, a więc panną, jak sądziłam, umysłowo dojrzałą.

Drugi mój utwór, w którym postąpiłam widocznie, bo pisany był po niemiecku, był satyrą na moją koleżankę Vlostę, z którą się wówczas gniewałam. Niestety tym razem nie tylko nie miałam uznania, lecz surowy krytyk nauczyciel który dostał satyrę do ręki — kazał mi Vlostę przeprosić, a wiersz skonfiskował.

To mię jednak nie wytrzeźwiło. Przeciwnie satyryczna zdolność wybuchnęła jeszcze silniej, stworzyłam epopeję satyryczną tym razem znów po czesku. Opiewałam rycerza Srdcotluka, który w walce z czartem zwyciężył go swym śpiewem. Bajka podobała się, a ja dumna z tego byłam, że dwojako ją tłumaczyć było można.

Jedni sądzili, że piękność śpiewu oddziaływała na czarta, inni, że rycerz śpiewał tak fałszywie, że sam dyabeł nie był w stanie go słuchać.

Przyjaciel nasz Szmilowski, (znany czeski pisarz), który dostał od braci mych do przeczyta-

nia baladę, zwrócił mi uwagę, że taka młoda i zdolna panią nie powinna mieć zamiłowania w satyrze. Przemawiał do mnie tak serdecznie i rozumnie, widocznym było, iż naprawdę żałował mych zdolności, bo rzeczywiście przepuszczał, że lekko myślą i mało mam uczucia. Przyznam się, że nie byłam mu wcale za to kazanie wdzięczna, bo nie potrafiłam ocenić tego, co mi wytykał i radził. Myślałam sobie, że jest nudnym pedantem, że nie rozumie żartów, ale nie przypuszczałam ani na chwilę, żeby mię ganił przez zazdrość. Chociaż Szmiłowski mówił poważnie o moim powołaniu literackim, nie przyszło mi nawet na myśl, żeby rzeczywiście mogła stać się kiedy poetką, nawet miałam mu za złe, że mnie posądza o takie zarozumiałe plany.

Innym razem dostał się rycerz Srdcotluk do ręki Józefowi Durdikowi, który był za owych czasów naszym codziennym gościem. Ten przeczytawszy mój utwór, wziął mię za rękę i rzekł:

— Eliszko, z was coś wyrosnie, ale uczcie się, dużo się uczcie! zdradzacie niezwykle zdrowy myśl. To jest mała główka, ale błogosławiona.

Nikt mi tak często nie powtarzał jak on:

— Uczcie się, uczcie się i pracujcie, bo talent się rodzi, ale artysta musi się wyrobić.

Znany w ówczesnych czeskich kołach Niemiec Jarosz, jako tłumacz czeskich poezji na niemiecki język, ogłosił konkurs na „Najsmutniejszą piosenkę o księżycu“ do Humorystycznych listów.

To mię zelektryzowało. Nie chodziło mi o nagrodę, ale nęciła mię myśl napisania ironicznej piosenki o księżycu. W natchnieniu wzięłam za pióro i wkrótce piosenka była gotowa. Przepisawszy ją porządnie, podpisałam jakimś dowcipnym pseudonimem i zapieczętowałam w kopertę.

Starsi bracia posyłał mię często do Narodowej księgarni po pisma lub książki. Tam spotykałam znanych mi ze słyszenia lub z widzenia czeskich literatów jak: Ferdynanda Mikowca, Janda Cyrlińskiego, Douhu, ale najchętniej widziałam tam wybranego poetę wedle mego gustu i serca Karola Jaromira Erbeny.

Kiedyś zabrawszy przygotowaną kopertę, pobięłam jak zwykle, po pisma do księgarni, chcąc po drodze wrzucić mój wiersz do skrzynki. W księgarni, zastałam kilku naszych pisarzy. Na ich widok ręka, trzymająca kopertę mi zadrżała, a łzy wstydu i żalu zakręciły mi się w oczach.

Otrzymałszy Humorystyczne listy, pobięłam spieszenie do domu, a skorzystawszy z nieobecności kucharki w kuchni, wrzuciłam moją piosenkę w ogień. Zdawało mi się, że popełniła wielki grzech, śmiesznym pomysłem narzucania się, że swą bazgraniną ludziom powołanym do poważnej pracy.

Pewnego razu przyniosłam z księgarni „Obrazy z życia.“ Brat zaczął je czytać i rzekł mi:

— O to nowa powieść „Miodowe miesiące kokietki“, jakiejś Karoliny Świetli, ale ta autorka ma więcej ducha, niż wielu naszych nowelistów. Przeczytaj to Eliszko.

Rozumie się, że nie dałam sobie tego dwa razy powtarzać.

Kiedy nas wkrótce odwiedził profesor Antoni Majer, ktoś wspomniał o Świetli.

— Karolina Świetla—to żona mego kolegi Mużaka, rzekł Majer, że jest literatką, tego nie pochwalam, ale że jest z przekonania Czeszką—to godne naśladowania. A wy obie Julinko i Eliszko, zwrócił się do mnie i do siostry, czy jesteście Czeszkami z przekonania?

Trochę nas to pytanie zdziwiło, lecz przyświadczyłyśmy, że jesteśmy Czeszkami.

— Tego by jeszcze brakowało, żebyście nie były Czeszkami, kiedyście z takiej czeskiej rodziny! odeiął profesor. Pytam was, czyście prawdziwymi Czeszkami z przekonania.

Słowa Majera nie padły na skalistą bezpłodną rolę.

Zrozumiałyśmy, że nie jesteśmy takimi Czeszkami, jak Karolina Świetla, lecz od tej chwili zapragnęłyśmy się stać niemi. Marzyłyśmy tylko o naśladowaniu jej, ale ani na myśl nam nie przyszło, żebyśmy mogły, kiedy ten

wzór patryotki, Świetlę zblizka ujrzeć i korzystać z jej przykładu, aby stać się dobrą Czeszkami.

Wskutek stosunków jakie mieli nasi bracia, znałyśmy osobiście lub choć z widzenia wielu ówczesnych czeskich literatów, ale ani jednej osobistości tak niezwyklej i szczególnej, jaką była wtedy czeska literatka.

Ale miałam wam opowiedzieć jakim sposobem dostałam się na czeski—Parnas. Kiedy i jak ja maluczka znalazłam się między wielkimi.

Pierwszy mój wstęp do towarzystwa starszych był zarazem mym wstępem na Parnas.

Pewnego razu otrzymałam z siostrą zaszczytne zaproszenie od Riegierów na wieczór tańczący, jako koleżanki i przyjaciółki ich siostrzenic Bogumiły i Bożeny.

Ponieważ Julinka zaśląbla, a uprzejma gospodyni nie chciała przyjąć mego usprawiedliwienia, musiałam pójść sama. Idąc tam drżałam ze strachu, i nie dziwnego był to pierwszy wieczór w licznym i obcym mi towarzystwie, a piętnastoletnią panią, nie mającą żadnych o formach ani etykietę pojęcia, niezmiernie to oniesmielało. Ze schodów była bym się najchętniej wróciła, ale było by to niewdzięcznością względem łaskawych gospodarzy. Przejrzaawszy się po drzwiach, zwróciłam się do najwyższych jako do najodpowiedniejszych, według mię, do salonu. Zastukałam, a na uprzejmie zaproszenie, weszłam do pokoju.

Przy drzwiach stanęłam jak skamieniała. W pośrodku wielkiego pokoju, pod ścianami, którego stały półki z książkami, siedział niemłody pan i czytał. Zabłądziłam do pracowni Franciszka Palackiego. Nie wiem nawet czym go przeprosiła za najście, ale starszek wstał, z uśmiechem wyprowadził na schody i wskazał mieszkanie swego zięcia.

Nie będę wyliczać skrupułów, jakie miałam z powodu niepewności, jak się mam zachować; powiem tylko, że najpierw zaopiekował się mną stary profesor, sławny Jan Perkunec i tak mnie ocarował swem towarzystwem, że z nienawidziła tancerza, który mię z nim rozłączył. W tem stanął przede mną d-r Riegier z jakimś młodym panem, w którym odrazu poznałam redaktora Lumira i poetę Vitesława Halka.

— A więc to jest ten talent?—spytał Riegiera, spojrzawszy ze zdziwieniem na mnie.

— Ja tak sądzę, ale zbadajcie sami, odrzekł gospodarz. Pan Halek, Panna Pechowa. Bawcie się wzajemnie, dodał i odszedł.

Chciałabym była widzieć rumieniec, jaki mi oblał twarz.

— Pani bardzo zdziwiona, jak widzę, zaczął Halek, może nawet nie wiecie o co chodzi?

Bąknęłam coś, naturalnie, że nie wiem.

— Pan Riegier chce z was zrobić literatkę, chociaż mi się to zdaje, trochę zawcześnie; nie przypuszczałam, że pani taka młodziutka. Ale podobno macie talent?

— Z czego może pan Riegier to wnosić... Przecież nie napisałam...—jąkałam się nieśmiało.

— Ale właśnie, że napisałam, przerwał mi Halek, przysłała pani jakiś humorystyczny liścik panie Bożenie, który się panu Riegerowi podobał. Poszukuje on talentów z upodobaniem, daj Boże, żeby tym razem się nie mylił.

Chciałam powiedzieć, że jeśli nie mylił się d-r Riegier nigdy, to tym razem napewno się omyli, ale nim przygotowałam sobie tę odpowiedź, podał mi Halek ramię:

— Zatańczymy troszkę, ale powolutku, jak aniołowie.

O, bo trzeba wam wiedzieć, że wtedy literaci czescy tańczyli, bawili damy, byli ozdobą wszystkich zebrań, ba nawet ich duszą. Jeśli się wam to wydaje dziwne, to zapewne nie zdziwicie się, skoro usłyszycie, że my, przyszłe patryotki, patrzyłyśmy na młody Parnas czeski, nie tylko z przekonaniem narodowym, ale także oczyma młodych panien, które potrafiły ocenić, czy sławny poeta jest także pięknym i przyjemnym mężczyzną.

A byli to zręczni i dzielni ludzie, nietylko duchem i poglądami, ci literaci nasi, którzy byli wówczas w kwiecie młodości, w owej świeżej

młodej natchnionej dobie szóstego dziesiątka naszego wieku; byli oni też pięknymi, szlachetnymi zjawiskami, których zewnętrzny wygląd harmonijnie dopełniał wewnętrzny nastroju...

Tańczyliśmy powoli, Halek tymczasem upowiadał o swych latach dzieciennych na wsi spędzonych, a ja słuchałam go pilnie, ale mało mi się odzywała.

— Przejdźmy się chwileczkę, rzekł po skończonym tańcu i wyprowadził mię do małego saloniku, gdzie bawiły się rozmową damy nietańczące. Dwie z nich zwróciły moją uwagę, obie były młode i piękne, imponującej postawy; ubrane w jedwabne gorsety i białe rękawy z jakimiś dyademami nad czołem.

— Tamta pani—to księżna Taxis, a tu bliżej drzwi—to pani Karolina Świetla. Nim się zdążyłam opamiętać, stanął ze mną przed Świetlą. Podobna była do królowej nie do księżnej.

— Przeprowadzam szanownej pani, pannę Pechową, rzekł Halek, a Świetla zwróciła się do nas z wyrazem twarzy dowodzącym, że i jej już o tym talencie mówiono. Jej głębokie iskrzące duchem, wymowne oczy, widocznie badały moją młodą duszę; a co nie było tak trudnem znowu. Świetla uprzejmie zwróciła się do mnie wypytując: co najchętniej czytam, a skoro Halek zauważył, że na pierwszy raz mam tej rozmowy dosyć, zaprosił mię znowu do tańca.

— Pani się tak na panią Świetlę zapatrzyła, że zapomniała zupełnie o mnie, zażartował.

— Nie zapomniałam, ale myślałam, że pan już z kim innym się bawi, odrzekłam.

— Dlaczego?—bronił się, wolę poczekać na panią, aż się raczy roztopić jak te lody. Przyczem wyprostował w mej ręce przechylony talerzyk, a którego rozpuszczoną zawartością mało nie oblałam sukni Świetli. Lody topniały prędko, ale ja bardzo wolno się ośmielałam. Halek jednak nie tracił cierpliwości; towarzyszył mi stale i czekał. Jeżeli kto inny prosił mię do tańca, Halek pozostawał na miejscu, z kąd mię zaproszono i dla tego odprowadzano mię do niego, jak do opiekunki. Poznał mię on z F. V. Jerzabkem i ten wybitny autor zwrócił na mnie więcej uwagi, niż mogłam się tego spodziewać.

Wiedziałam, że Halek dlatego tak wytrwale mi towarzyszy, żeby mógł zbadać, czem właściwie jestem, a to przeświadczenie nie dodawało powabu rozmowom, na jakie się zdobywałam. Ale kto był by się ostał, skoro Halek, z całą właściwą sobie serdeczną szczerością, postarał się go pozyskać? Nakoniec i ja uległam jego wpływowi i rozgadałam się na dobre. Wtedy Halek mi zniknął. Widziałam jak się bawi i tańczy z innymi pannami.

— Już się tedy przekonał, że niema we mnie ani śladu tego talentu, zbadanie, którego polecił mi pan Riegier, pomyślałam sobie; naturalnie i bez żalu, bom o „talencie“ sama nie marzyła. Ale ledwie zwróciłam się w inną stronę, Halek znowu był przy mnie.

— Jeszcześmy nie skończyli, rzekł, dziś będę uż służył pani, dopóki się nie rozejdziemy.

Spojrzałam na niego.

— Jaki jeszcze pana nie znudziłam?

— Dlaczego miała by mię pani nudzić,—odparł, ma pani taki zdrowy sąd o rzeczy.

Dało mi to wiele do myślenia, bo raz już zwrócił mi na to uwagę Durdik, a ja sądziłam, że czyni mi z tego zarzut i byłam pewna, że się już tej wady pozbyła. Posmutniałam tedy rozczarowana, że dotąd tego zdrowego sądu nie zwalczyłam, a Halek nie był by zgadł nigdy dla czego straciłam humor. A gdyby się dowiedział, zaiste zawołał by:

— O święta naiwności!

Nareszcie przyszedł czas wracać do domu. Pożegnałam pana Riegiera.

— No cóż panie Halku,—spytał gospodarz, jak myślicie, co zrobimy z tą panią, aby się talent rozwinał?

— Zostawimy ją w spokoju,—odrzekł poeta, rozwinaj się on samodzielnie.

Obaj mi życzyli dobrej nocy i przyjemnych marzeń, a pan Jerzabek łaskawie się ofiarował odprowadzić mię do domu.

Otóż tej nocy ułożyli między sobą Świetla, Riegier, Halek i Jerzabek, że ze mnie będzie czeską literatką. Chodziło tylko o to, abym się nią naprawdę stała. Byłam przyjętą na Parnas wprzód, nim się na pierwszy krok odważyłam. „Talent“ był mi niejako narzucony jako dar Boży i obowiązek. Nie zdawałam sobie sprawy, z kąd się to wzięło, lecz zaczęłam przeczuwać, że musi w tem coś być, jeżeli tak poważne osoby życzą sobie tego. Do dzisiejszego dnia dziwi mi to bardzo, jakim sposobem z mych lat dziecinnych mogli wywróżyć, że będę zdolną się wyrobić: to tylko pewne, że przez nich mówila dobra wola i życzliwość, a wskutek tego wydaje mi się potworną bajką, posądzenie o zazdrość uznanych literatów wobec młodszych talentów.

— A więc pokazuje się, że protekcja rozstrzyga o przyjęciu na Parnas, pomyśli sobie niejeden młody poeta, który tego przyjęcia domaga się daremnie.

Gdyby mię byli odstraszała, to był by dowód zazdrości, a że mnie zachęcał jest dowodem protekcji; co tedy mieli czynić ówczesni przodownicy, aby wyszli bez zarzutu?

Nie chyba nie zależało Świetli, Riegierowi i wszystkim innym na tem, aby protegować dziewczynę z prostej rodziny, nieznanego nazwiska, bez wybitnego stanowiska społecznego, nie bogatą i niemającą żadnego wpływu.

Czy nie mieli świetniejszych znajomości do wyboru?

Dlaczego nie wybrali sobie, jakiej fenomenalnej panny z koła własnego, dystyngowanego, dlaczego właśnie z córki wdowy po rzemieślniku gwałtem robili literatkę?

— Przecież nie mogli tworzyć literatki z pannie nie mających ku temu talentu, podpowie mi ktoś z boku. W tem właśnie polega grunt rzeczy. Talentu poszukiwali, mniemali, że go znaleźli, więc chcieli podtrzymać i wesprzeć. A taka protekcja jest zupełnie uzasadnioną. Nie przypuszczałam jednak, że to czego doznałam na wieczorze u Riegierów, będzie miało rzeczywiście decydujący wpływ na przyszły kierunek mych losów. A jednak było mi to sądzono.

Pierwsze amerykańskie maszyny do szycia przywieziono do Pragi; poszliśmy z siostrą obejrzeć je do pana Vajty Naprstka, a skutkiem tej wizyty było przeświadczenie, że narzędziem mej pracy zamiast igły stanie się pióro. Karolina Świetla, którą tam widziałam po raz drugi, zaczęła ze mną uprzejmą rozmowę; było tam więcej czasu i miejsca do dłuższej pogawędki; tam też przyglądałam do niej z jasnym przekonaniem, że nie skończy się między nami na wypadkowych spotkaniach, ale że serca swego od niej już nigdy nie oderwę. Tam też poznałam siostrę jej Zofię Podlipską, delikatną idealną duszę i wcieloną łagodność, ale oko moje zwracało się zawsze ku poważnym rysom Świetli, a myśl moja do pewnej bystrości jej słów, z których każde miało dla mnie akcent nieodwołalnej prawdy. Świetla zażądała, abym zebrała wszystko, com dotąd napisała dla siebie i przyniosła jej to do przejrzania. Przed nią nie czułam się onieśmiałoną.

Przepisałam kilka wierszy, które uważałam za najlepsze i wybrałam się po raz pierwszy do sławnej pisarki.

— Kto wam to przepisywał?—spytała trzymając mój arkusik.

— Ja sama.

— Z pisma można poznać, kto dąży do rzeczywistości i prawdy. Przeczytam wasze wiersze później; teraz porozmawiamy sobie. Co pani czyta nowego?

— Wczoraj dokończyłam „Życie w Europejskiej niewoli“ Hacklaendera.

— Jak się wam podobało?

— Wcale mi się nie podobało.

Świetla spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Czemu się wam nie podobało? Właśnie tę samą książkę niedawno chwaliła przede mną jedna, bardzo wykształcona pani, jako rzecz porównującą swą prawdą.

— Przeciwnie prawdy tam braknie, zawołałam bez względu na sąd owej wykształconej damy:

właśnie najbardziej gniewało mię to, że tytuł wiele obiecuje, a treść jest błaha.

— Na czem zależy ta błahość?

— Na tem, że autor nie przedstawił ani jednego człowieka w położeniu, rzeczywiście niewolniczo zależnym. Dlaczego nie opisał tam żołnierza, który musi walczyć często wbrew przekonaniu, albo podwładnego urzędnika, lub niższe stanowisko zajmującego księdza, którzy też muszą trzymać się przepisów, częstokroć dla nich wstrętnych, nareszcie robotnika, który z powodu samego zajęcia nie ma wolnej chwili? Są jeszcze inni niewolnicy w Europie, o których ja sama nie wiem dokładnie; ale Hacklaender przedstawia baletnicę, która mogła iść do służby, skoro balet wydawał się jej niewolą, potem człowieka, chcącego żyć z tłumaczenia romanсів i nie mogącego znaleźć nakładcy, który by mu dobrze płacił. Jakby gorszych niewolników w Europie nie było.

Świetla badawczo patrzyła na mnie.

— Czy bracia wasi zgadzają się z tymi poglądami?—spytała.

— Nie wiem, proszę pani;—czytałam tę książkę ja tylko, nikt jej jeszcze w domu nie przeglądał i nie wiem czy ją zechce kto czytać, jak im powiem, że tego nie warta.

— A więc, to jest sąd wasz samodzielny, od nikogoście go nie słyszeli?

— Od nikogo, proszę pani.

— No to i ja dobrze osądziłam, patrząc na wasze pismo, ma pani wyrobioną rękę, a zatem musicie mieć i wyrobionego ducha.

W tej chwili rozjaśniło mi się w głowie. Teraz przekonałam się, co to znaczy ten „zdrowy rozsądek“, który mię dotąd tak trapił.

Świetla powiedziała mi to innemi, zrozumiałszemi dla mnie słowami. Mieć wyrobionego ducha, to mi się tak podobało, że postanowiłam go w sobie wszelkimi siłami wydoskonalać. Pokochałam Świetlę za to, że mi przyznała zaletę, która odpowiadała memu usposobieniu. Zrozumiałam zarazem, że ani Durdik, ani Halek nie robili mi zarzutu mówiąc, że mam zdrowy sąd o rzeczy, ale przeciwnie, że mi tem dali dowód uznania.

Była to pierwsza moja ważniejsza ze Świetlą rozmowa, którą dosłownie zapamiętałam. Inaczej zapomniałabym dawno o Hacklaenderowym romansie! Zatarłby się w mej pamięci jak sto innych nudnych rzeczy które czytałam przed tylu laty.

Odeszłam od znanej pisarki uszczęśliwiona zaproszeniem, abym przyszła wysłuchać sądu o mych utworach. Ale zaana ta dusza zrobiła mi jeszcze większą przyjemność. Ledwie parę godzin przeszło mi przy szyciu, które było zwykłym mem domowym zajęciem, ktoś zadowolony. Pobiegnęłam otworzyć i nie chciałam wierzyć własnym oczom: pani Świetla przyszła do nas.

Usiadła przy łóżku mej wówczas chorej matki i położyła na stole piękną książkę, którą przyniosła mi w podarunku, podpisawszy ją swem drogiem nazwiskiem. Była to piękne opracuna Antologia Scherra Dichterkönige.

W owe czasy pragnąc podziwiać olbrzymów obcych literatur, musieliśmy ku temu używać lornetki: niemieczyny.

Radość i zdziwienie odebrały mi mowę.

— Przeczytałam wasze wiersze i powiedziałam już Halkowi, żeby po coś do mnie przyszedł, zaczęła Świetla, chcę mu zrobić niespodziankę waszemi utworami, musi je wydrukować w Lumirze, jeżeli mama pozwoli. Ale należy też pani spytać czy pozwoli podpisać swe nazwisko?

— Nie,—zawołałam niegrzecznie, gdyż dawny wstyd mię ogarnął.

— Ale jakieś nazwisko musimy mieć,—wymyślcie tedy sobie jaki pseudonim,—uspakajała mię Świetla.

— Pseudonim już mam—odrzekłam, opamiętawszy się. Była kiedyś w Czechach rycerska rodzina Pechów z Krasnej Hory, a ja wiedząc o tem podpisałam kiedyś dla żartu pod memi wierszami Eliszka z Krasne Hory, czyli Eliszka Krasnohorska.

— Wybornie, a więc Krasnohorska,—zdecydowała Świetla, nazwisko to nadaje się bardzo dla publiczności.

— Ale obawiam się, że moje wiersze się nie nadają,—szepnęłam bojaźliwie.

— O tem niech decyduje Halek, jako redaktor, kiedy na moim sądzie nie polegacie, panu Krasnohorska, roześmiała się Świetla.

I nadano nowe nazwisko.

Takim sposobem pojawiły się w Lumirze wiersze nowej poetki, i pojawiały się tam coraz częściej, a kiedy Halek rzekł się redakcyi i objął ją Edward Waleczek i ten gorliwie nadal wprowadzał „Eliszkę“ w świat. Na pociechę „zardrosnych“ i mą własną muszę dodać, że piękność moich poezyj nie olśniła świata.

Mówiłam, że owi protektorzy nadali mi nazwisko, ale to mało, bo właściwie dali mi ich kilka. Ci bliżsi domowi, którzy mieli większe prawo żartować ze mnie, nie potrafili mi sławniejszego wymyśleć jak „nasza Sapho“, ci dalsi, z wyżyny Parnasu byli umiarkowańsi i delikatna nazwa cechowa, jaką mi dali brzmiała „narodowy cukiereczek.“ Chodziła fama, że twórcą tego imienia był—ale po co być echem famy? Tembardziej, iż z pewnością nie było to z powodu tego przydomka, tylko z tej przyczyny, że przed szanownym przyjacielem N. zawsze miała tremę, podejrzewając go, choć bez dowodu, o ironiczny uśmieszek. Wogóle wyobrażałam sobie ciągle, że dla ludzi jestem śmieszna. Dlaczego?

Czemu każde bystrzejsze rozumne oka spojrzenie, każde dowcipne lub nawet pochlebne słowo przyprawiało mię o humor i nawet mi dech w piersi tamowało? Dlaczego wciąż się obawiałam wysmiania; kiedy zewsząd spotykała mię życzliwość, przewyższająca o całe Krkonosze moją zasługę?

Szkoda, że o to nie spytała dobrego Halka; wiem napewno, że był by mi to w tej chwili objaśnił swym doraźnym sposobem. „Každy po sobie sądzi.“ Była to kara za moje stare przyzwyczajenie, że ze szczególną przyjemnością uprawiałam satyrę. Myślałam, że i ja na cel żartów się doskonale nadaję.

Nie zastanawiałam się w tedy o ile inni są rozumniejszymi ode mnie. Dopiero o wiele później zdołałam ocenić jak po przyjacielsku ze mną wszyscy postępowali i teraz w dojrzałym wieku, jak patrzę na młode dziewczęta dzisiejszem doświadczone okiem, a widocznie i trochę pedagogicznie wyrobionem, widzę, że nikt nie miał powodu śmiać się ze mnie. Byłam naiwną, nieobytą w salonie, niezręczną w zachowaniu i naprzemian, albo onieśmiałoną i milczącą, albo za bardzo szczerą i otwartą; jednak ci wybitni ludzie, którzy mimo to okazywali mi swe względy, chociaż nie jasnowidzący, ale wiedzieli czemu to robię. Widocznie znać na mnie było ślady owego kryształowego powiewu, owej surowej szczerzej prawdy w jakiej mię wychowywało moje najbliższe otoczenie. Dom nasz był pełen artystycznych dążeń, roił się od młodych adeptów sztuki.

Mało mych rówieśników miało tak swobodną szczęśliwą, duchowemi podmioty obfitą młodość jak ja, wykształceniem mojem rządził przypadek, ale był to przypadek dla mnie najlaskawszy, ukazujący mi złoto jako złoto, a szych jako szych.

Rozumiem dziś, że w takich warunkach mógł się we mnie rozwinąć zdrowy pogląd na rzeczy, jaki nie uszedł przenikliwemu oku satyryka, par excellence, którego się najwięcej bałam: Jana Nerudy. Nie wiedziałam wtedy, że właśnie satyra prawdziwa i szlachetna tryska ze współczucia z ludźmi, równie głębokiego jak najpoważniejszy pathos; nie miałam wyobrażenia, że właśnie Neruda, ten delikatny badacz, zapewne ze wszystkich najwzględniej, każde mi przewinienie daruje, właśnie dla tego, że je widzi krytycznym okiem myśliciela. A gdybym mogła zwątpić, trzeba by tylko, abym przypomniała sobie te liczne dowody przyjaźni, jakimi Neruda zapisał się w mej pamięci, a miejscem zwątpienia zajęła by razem wdzięczność.

To samo powiem o Ferdynandzie Szulcu, który był mi zawsze najlaskawszym literackim

przyjacielem, zanim poznaliśmy się osobiście, a został nim do dziś dnia. O żadnym z mych starszych kolegów nie mogłabym zaznaczyć nic innego nad przyjaźń i chętną, bezwarunkową życzliwość. Czyż nie wspomniałam podobnie o Halku i innych? Równie pięknie postępowali ze mną Heyduk, Jerzabek, D-r Emler, Vaclav, Vlczek, D-r F. Studniczka, nieszczęśny Fyrz, zmarły D-r Jan Krejczy, Szimaczek i inni. Nie znam ani jednego literata, którego imię wymawia się ze czcią, który by nieżyczliwie względem mnie się zachował, mógł to być Gregr lub Szulc, do jakiegokolwiek należącego obozu.

Ale to znowu nie dowodzi, żebyśmy sobie nawzajem mówili:

— Wście geniusz, przed wami tylko padać na kolana. Myśmy sobie mówili prawdę; nikt z nich nie tał ani nie zmieniał swego poglądu dla mej przyjemności, ani ja dla dogodzenia któremu z nich, nie zapierałam się swego przekonania, czy to w rzeczach literackich, czy politycznych lub jakichkolwiek innych.

Gdyby zawiść była zakorzenioną wadą pisarzy, jak oklepiane anegdoty o niej opowiadają, a młodzi poeci na seryo biorą, jak bujne powinna by znaleźć pole na arenie kobiecej! A jednak kto by opisał tę całą względność, dobroć, wszystkie te ofiary z czasu i cierpliwości, całą przyjaźń, którą mnie, jako skromnej, początkującej ofiarowały prawdziwe czeskie literatki u zenitu sławy stojące, Świetla i siostra jej Podlipska! Nie starczyło by sto takich rozdziałów, żebym chciała wspomnieć o wszystkim, co mi z ducha i serca swego zaofiarowała pięknego prawego, zacnego, oświecającego tylko sama jedna, wysoko nade mnie wzniesiona osobistość z koła starszych kolegów: nieporównana przyjaciółka moja Świetla!

— A więc nigdy nie doznała pani zawiści, nieprzyjaźni, intrygi na swej literackiej drodze?—słyszę pytania niedowiarków.

O, tego nie mówię! To było by znowu śmieszna nieprawdopodobna bajka, gdybym twierdziła, że czeski pisarz lub pisarka ma usłaną drogę różami nietylko wonnemi, ale w dodatku bez cierni. Tylko wysuńcie się trochę, wybijcie, a przekonacie się sami. Doznałam i ja zawiści i innych przyjemności, aż nadto, tylko, że zawsze od duchowych nicości, od zarozumiałców i ograniczonych wielkości, ale nigdy od poważnych współkolegów.

— Jako?—Nigdy się pani z żadnym z cenniejszych pisarzy nieprzyjaźnie nie zetknęła? To chyba znowu bajka?—zarzucić mi ktoś może.

A jednak obstaruję przy swoim. Pospolicie krzykacze myślą, że jeżeli dwaj ludzie wiodą ze sobą spór, to chodzi im tylko o prostą zawiść. My literaci nie jesteśmy jednak z tego obzru, skoro wystąpi jeden przeciw drugiemu na jakiejś poważnej zasadzie, nie wołamy zaraz, że to atak osobistej zawiści. Z kolegami ze starszego cechu nie miałam nigdy żadnego sporu, a jeżeli młodszy Parnas był mi mniej przychylny, daję sama o tem świadectwo czarne na białem, że nie stało się to nigdy z przyczyn osobistych, ale zawsze z racji mego kierunku, mych literackich zasad i ich objawów.

Tak się zachowywało pokolenie młodszych pisarzy względem mnie; jak postępują względem talentów młodszych, nie doświadczyłam tego i nie mogę za nich odpowiadać. Powtarzam tylko, że świadectwo moje daję tylko w stosunku do literatury, gdzie niema styczności z pobieżnym jakimś żywiołem, bo o tem dało by się napisać inny rozdział; co jednak literatury się tyczy, nazbierałam najmiłsze wspomnienia.

Może pomyśli niejedyn:

— Tak może mówić ona, ta szczęśliwa, wybrana, której inni utorowali drogę, jak sama opowiada; ona, która znalazła już wszystko gotowe i tylko potrzebowała wyciągnąć rękę po gałązkę wawrzynu którą podawali jej dobrzy przyjaciele.

Kiedym była mała, pokazywali mi w domu obrazki z historii świętej, a o jednym objaśnili mi tak, że gdy żydzi cierpieli głód na puszczy, Mojżesz im sprowadził całe stada pieczonych

przepiórek. Ptaszki były namalowane rumiane, jakby rzeczywiście leciały wprost z patelni.

A jednak było inaczej: byli żydzi, była puszcza, był Mojżesz i były przepiórki—tylko nie pieczone. Musiałam się przeciw san'a przyczynić czemś, żeby moje przepiórki wyglądały tak rumiano. Jak się o to starałam nie należy do tego rozdziału, w którym tylko przyjemnie mi było zaznaczyć, jak względem mnie postępowali starsi koledzy i jak mię na czeski Parnas przyjęli.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Jak po przejściu gwałtownego huraganu, stęskniona ziemia do słońca i błękitów stroi się w zieleń i kwiaty, ubiera się w ros perły, w koło siebie rozciągając blaski i wonie—tak po latach kilku ciszy po burzy niedawno przegrzmiałej, zapragnęli ludzie głośniejszym śmiechem wybuchnąć, oddać się dawno niewidzianej wesołości, w wirze tanecznym zapomnieć o tem wszystkim, co bolało i co może jeszcze boli.

Szarogród przygotował się do karnawału.

Nie było domu, gdzieby nie zapowiedziano balu, a nawet piękna i duża sala klubowa, w mroku i cieniu pograżona od lat przeszło sześciu, wzięła szatę odświętną, setką lamp i świec zapłonęła, ze zdziwieniem zdając się patrzeć w zwierciadło lśniącej posadzki, a echa długo śpiące, przy pierwszym muzyki odgłosie, odezwały się w każdym gżemsku załomie a płynąc górą wysokiej, piętrowej sali, zdawały się przysłuchiwać wzajemnie, kołysać się rozkosznie rzewnemi tonami walca, odgrzmiewać hucznie w takt mazurowy, ślizgać się w rytm kontredansu.

Tłok był ogromny, i duszność podniesionej atmosfery i dławiący zapach kwiatów świeżych i sztucznych pachnideł. Kobiety obnażyły ramiona, z brakiem nawet pewnych warunków przyzwoitości, jakby chciały wynagrodzić dziś sobie długą „przymuszoną wstydlivość.“ w strojach widziałaś przesadę, rażącą może dla tego, że oko odwykło od barw jaskrawych;—z tej przyczyny i taniec za rozpasany się wydawał, że ludzie poważniejsi lub pamięć dłuższą mający, patrzyli ze zgrozą pewną na ten wir, szal i zamęt.

Zaledwie jednak wtoczyły się tłumy do sali balowej, jakby potężny jakiś prąd powiał, ruchoma fala rozdzieliła się na dwie połowy, baryera z widzów złożona rozgraniczyła te dwie fale i żadna moc już połączyć ich nie mogła, zbliżyć, skupić choćby na czas niedługi. Znalazło się tylko maruderów paru, którzy to tu, to tam przychodzili. Do nich należał Laminowski z jednej strony, Chomin z drugiej, którzy się snuli jak dwa wazki strumyki pomiędzy dwoma jeziorami kotłującymi.

Ale ani na balach w klubie, ani w domach prywatnych, wśród tysiąca przesuujących się par, nie było widać Jadwigi. Nikt braku jej nie uczuł, nikt nie zapytał nawet o przyczynę jej nieobecności.—Co tam kogo mogła obchodzić nauczycielka Dudkowskich na której wspomnienie uśmiechała się pani Porczyńska, Marynia usta sznurowała, a Laminowski chrząkał znacząco. Prawda, że to ten, to ów z młodzieży, gdy w myśli swojej porównał pannę Sośnicką z widzianymi tu tancerkami—szepnął w duchu:

„Jakby to ona w stroju balowym wyglądała cudnie; jakby błyszczały alabastry jej ramion przy tych lampach i świecach jarzących, jakiby czar bił od niej, jakby od razu do swych rąk wzięła berło królewskie!...“

Lecz szept głuzył szybko wir, fala rozhulanego tłumu porywała marzyciela w wir swój szalony, uśmiechały się ponętnie koralowe usteczka dziewcząt, biegły pytania ciche, cichsze odpowiedzi, szczerze lub nie szczerze westchnienia. W żyłach krew grała, coraz więcej marzące stawały się oczy kobiet, coraz gorętsze były mężczyzn spojrzenia. Złotoskrzydły Amor z kąta w kąat przelatywał, pociski trafne na wszystkie rozrzucił strony, a nigdy tak celnie nie strzelał jak tego karnawału, nigdy rozpustnik mały większego nie odniósł jeszcze tryumfu.

Do Jadwigi dochodził ten gwar świata, wiedziała, że ludzie się bawili, choć sama w zabawie żadnego udziału nie brała. Zajęta pracą u Kwiatkowskiej, obłożona była kwiatami i strojami. Raz w raz otwierały się drzwi, wchodziły panie i panny uśmiechnięte, radząc się o barw dobór, o stosowność takich a takich kwiatów, do takiej a takiej sukni. Podziwiano smak dobry panny Jadwigi, i do jej zastosowywano się wskazówek; wiedziano doskonale do kogo zwracała się Kwiatkowska, kto wieńce w warkocze wplatał, dłoń czyja rzucala bukiety na lekkie drape-rye sukien balowych.—Piękność Jadwigi zwracała oczy wszystkich; często paniom towarzyszyli panowie młodzi, przychodzili naumyślnie, by się panie Sośnickiej przypatrzeć.

— To ona!—mówiły panie ze sklepu wychodząc...

— I dlaczego zerwała z Porczyńską?—szep- tali mężczyźni.

Zjawił się lowelas jakiś, który się z komple-mentem do Jadwigi posunął, lecz jedno spojrzenie panny Sośnickiej, przekonało śmiałka, że się w adresie pomylił.

Jadwiga opadała na siłach, ażeby móz wyko-nać zamówienia wszystkie na czas oznaczony. Zatrzymała ją nieraz Kwiatkowska, choć mi- nał pięciogodzinny termin zajęcia.

„Pani—droga, duszko—mówiła—jeszcze kwa- dransik, minucetka jeszcze; potrzeba koniecz- nie ten stroik na dzisiaj skończyć, zapłacę pani, albo, gdy czas karnawałowy minie, odtrącisz pa- ni ten czas naddatek z liczby przypadających godzin.“

I Jadwiga zostawała kwadransik, minucetkę jeszcze, z których nieraz godzina cała złożyła się, a drobne, delikatne palce kilka więcej ukłóć igłą dostawały.

Razu pewnego wbiegła pani Porczyńska i Ja- dwiga przywołana do niej została dla dobrania kwiatów do głowy. Pani Eliza poznała ją od razu, mówiło o tem przelotne zdziwienie jej oczu—lecz udała, że nie zna wcale pomocnicy Kwiatkowskiej. Jadwiga nie zmieszała się, po- deszła spokojnie, udając także, że po raz pier- wszy ją widzi.

— Niech panna mi strój do głowy dobierze odpowiadający barwie sukni—rzekła panna Eliza.

I panna dobrała, ze spokojem a wielkiem za- dowoleniem pani.

Innym razem, towarzysząc Porczyńskiej i Ra- bskiej, wszedł pan Aleksander do sklepu. My- ślał, że siostra pracuje gdzie w pokoju przyle- głym i nie pokazuje się w magazynie. Zmieszał się okrutnie, gdy Jadwiga, przyzwana przez pryncypałkę, zbliżyła się do pań. Zręcznym ruchem ku oknu się zwrócił—niby coś dostrzegł, uklonił się znajomemu przechodniowi jakimś, wreszcie zapatrzył się na ruch uliczny i nie od- wrócił się, choć parę razy przez pannę Izabellę wezwany został...

— Panie Aleksandrze!—powtórzyła Rabska, zbliżając się do zapatrzonego — wołam pana, a pan nie słyszy!...

— Ach!—przepraszam...—Co pani rozkaże?— zapytał, zwracając się do niej, lecz na Jadwigę nie patrzył.

— Czy mi do twarzy w tych kwiatkach?—py- tała dama o wdziękach przewiedłych, uśmiecha- jąc się do Aleksandra.

— Prześlicznie!—rzucił Aleksander.

Przez usta Jadwigi uśmiech przeleciał, uśmiech smutku i bólu zarazem.

Ta grzeczność zdawkowa, to kłamstwo konwencyonalne, zastosowane do pani Rabskiej, która, dawno już przygasłe wdzięki swoje, podtrzymywała sztuką, gdzie róż i bielidło nawet ukryć znamion lat nie mogły—wydały się Jadwidze nad wyraz wstrętne. Podniosła głowę i zwracając się do brata,—rzekła:

— Dzień dobry ci, Olesiu!...

Plomienie wystąpiły na twarz Aleksandra. Była chwila, w której zdawało się, że powie: Nie znam pani, — ale spokojny wzrok Jadwigi, ogromny smutek w jej oczach, które w tej chwili przykryły łzy—zmieszają Aleksandra.

— Dzień dobry—szepnęła...

Obie panie spojrzwały w twarz młodzieńca—Porczyńska uśmiechnęła się nieznacznie, Rabska, zdawało się, że pyta:

— Co to za komitywa między wacpaństwem zachodzi?

Ale pani Eliza trąciła lekko krewniaczkę, która ruch ten zrozumiała widocznie, bo spojrzenie swoje na inny przedmiot przeniosła...

— Jakaś dobra znajomość!... — szepnęła do siebie Rabska.

Wpatrzyła się w przesliczną twarz Jadwigi, a uśmiech zawiści wąskie, zwiędłe usta jej skrzywiły...

Dzień ten był pamiętny Jadwidze;—wśród wielkiego tłumu ludzi czuła coraz większe sieroctwo i osamotnienie.

Karnawał trwał w całej sile—ona oddana pracy swojej zdawała się nie wiedzieć; że zewnątrz niej jest śmiech, zabawa, wesele. Zajęcie u Kwiatkowskiej, lekcje u Fokiewicza i u Dudkowskiego i zbiorowe pogadanki w świetlicy Ignacego Kulaka—zabierały jej tak dzień cały, że ledwie parę godzin wieczorem już późnym, mogła sobie i rodzicom poświęcić. Kładąc się do snu, brała książkę do ręki, ale choć nieraz książka z rąk wypadła, sen nieprzychodził—otwartymi oczyma patrzyła w przestrzeń jakąś i czasem ciche łzy z pod powiek wypłynęły, czasem pierś tłumione poruszyło łkanie.

Te noce bezsenne, te marzenia bolesne, łkanie to i łzy w ciszy płynące zaczęły powoli mścić się na zdrowiu Jadwigi. Rumieńce żywe coraz rzadziej na jej podkładały się twarzy, odrobinię w głąb oczy zapadły, odrobinię palce się wydłużyły, odrobinię kibić wiotka jeszcze wiotszą się stała. Jadwiga czuła potężną siłę łamiącego czasu, przygniatającą moc tęsknoty... I przybiegł strach i dwom tym potęgą sojuszniczą dłoń podał. Dawniej z uśmiechem patrzyła w zwierciadło, które dobrym przyjacielem jej było—teraz wrogiem stawało się z dniem każdym. Rzadko odbierane listy od Gustawa wylewały zawsze na nią zdrój pociechy—teraz czuła trwożny dreszcz serca, gdy pisał:

„Widzę cię zawsze piękną!”

— Piękną!...—szepnęła.

I zwracała się do zwierciadła twarz pobladała.

Późnym wieczorem do domu wracając, myślała zawsze, że Pawła zastanie. Lecz Paweł się nie pokazywał. I on pewnie został przez wir karnawałowy porwany, zabronić tego prawanie miała, czuła jednak jakiś żal w sercu, że nie przychodził do niej.

Bawi się czy się nie bawi?—Mogła by łatwo dowiedzieć się od Maryni albo Heleny—lecz coś wiązało jej usta, jakby się lękała, by nie powiedzieć za wiele, by nie rzucić ludziom domysłu, przed którym broniła się sama.—Między nim, a nią jest tylko przyjaźń...

— Tak—tylko przyjaźń—powtarzała w duchu ilekroć zatęskniła za Pawłem.

Z Marynią Kamenką nie widziała się od dawna, ta oddana zabawie nie odwiedzała przyjaciółki. Częściej teraz przychodziła Helena, mówiła mało, bawiła krótko, i odchodziła w chwili, gdy na usta Jadwigi pytanie jakies wybiedz miało.

Pod względem materyalnym lepiej się teraz działo Sośnickim.

Zawdzięczali to córce.

Ale wzrok matki nieraz niespokojny zatrzymywał się na twarzy dziecka, towarzyszyło mu i ojca spojrzenie. Jadwiga nie skarżyła się—lecz co się działo w duszy dziewczyny, bez pytań widziało oko rodzicielskie—

— Tęsknota ją zabija,—mówiła matka.

— Niszczy głód pragnień,—dodawał szeptem ojciec.

— To niechby już ten Gucio napisał, co zakochał się tam w jakiej marmuzeli,—mówiła bez ogródek Janczewska.—Popłakałaby trochę Jadziunia—i dobrzeby wszystko poszło—

Sośnicy milczeli, ale kto wie, czy to ich milczenie nie było potwierdzeniem słów Janczewskiej.

Jadwiga codziennie prawie, do snu się udając, rozmawiała z Marcją. Słuchała chętnie opowiadań starej piastunki, nie pozwalała nic tylko mówić o tym dalekim, ukochanym, który czasami wydawał się jej jakimś cieniem ogromnym, jakimś duchem potężnym, niedojrzanym, nieuchwytnym już, z pod którego jednak wpływu wszechmocnego nie było sposobu wydobyć się.

Po północy już było—Sośnicy spali, rozmawiała tylko Marcja z Jadwigą. Z sąsiedniego domu dolatywały dźwięki muzyki, uroczy walc się kołysał, słuch wyteżywszy dosłyszeć można było szmer par tańczących—

— Tańczą i tańczą,—odezwała się Janczewska.

— Zechcieli się bawić ludzie po tylu latach smutku,—odpowiedziała Jadwiga.

— A ty by nie podrygała, Jadziuniu?

— Ja?...—rzekła z uśmiechem Jadwiga.—Może mnie nie wolno tańczyć—ale wiesz, że czasem przychodzi chęć okropna w szal jakiś się rzucić, i już się z tego szalu nie obudzić—

— To poproś, Jadziuniu, mamusi i tatusia, ażeby u siebie balik wyrządzili— — Już ja kolację zrobię sama, usługę, jak się należy, aby ty poszukała tylko—

Jadwiga uśmiechnęła się—

— Wiesz, Marciu, że tutaj nie mogłabym się bawić.

— Dla czego?

— Kto zresztą u nas bywa?...

— To poprosić gości a przyjdą—

— Zdaje ci się tak tylko.

Po chwili rzekła—

— Pan Paweł nie bywa już nawet...

— Albo ty chcesz, żeby on bywał?...

— Czyż mówiłam mu, by nie przychodził?...

— Kiedy on niema po co przychodzić,—rzekła Janczewska.

Jadwiga pochyliła głowę ku piersi i zamysliła się—

Milczeli—wtem w okienice trzykrotne dało się słyszeć pukanie—

— Kto tam? — zawołała przestraszona Jadwiga.

— Helena! — dał się znajomy bas słyszeć.

— Wszelki duch! — krzyknęła Janczewska—i czego ta pannica chce o tej porze?

— Cicho stara! — odezwała się Helena—a jeżeli nie chcecie spać, otwórzcie drzwi i wpuście mnie, jeżeli zaś oczy wam się kleją—to do widzenia!

— Ależ chodź—chodź, ptaku nocny,—zawołała ze śmiechem Jadwiga.—Doprawdy, że jestem rada z twojej wizyty...

Zaczęła się szybko ubierać, szlafroczek welniany włożyła na siebie, wskoczyła w pantofelki i gdy Janczewska otworzyła drzwi Helenie, już była zupełnie gotowa do przyjęcia nieoczekiwanego o tak spóźnionej porze gościa—

— A prawda, że fiksotka ze mnie! — zaczęła Helena.

— Tego nie powiem—ale...

W tej chwili klasnęła w ręce—

— Co to? widzę strój balowy na tobie!...

— Zechciało się huzarowi fiksać,—rzekła Helena.—Ale wczas pomyślał o towarzyszu, którego na odwachu posadzono—i,—na lewo zwrot, dał nura jak należało—

— Siadaj—że, siadaj, mój huzarku i mów, co to wszystko znaczy?

— Oczywiście powiem, kiedy tu przyszlam—ale...

Tu zwróciła się do Janczewskiej.

— Słuchaj ty, babo z Łysej góry—nie nazywaj mnie pannicą, bo pannicą jest Rabska, która sztukę malarską na sobie wypróbowała, a rozbiera się na kawalki, gdy spać idzie. Teraz do rzeczy.

Jadwiga przyciągnęła Helenę do siebie a Janczewska w głowę się podrapała, nie wiedząc sama co odpowiedzieć.

— Słyszysz?... — zaczęła Helena—zwracając uwagę Jadwigi na dolatujące dźwięki muzyki z sąsiedztwa.—Jakiego teraz mazura wywijają!...

— U kogo to się bawią?

— U Konopków.

— Nie znam—

— Gospodarz ni z pierza ni z mięsa, gospodynini ma więcej na sobie mięsa niż pierza, ale nieźli to ludzie. Wydali bal i zaprosili nas do siebie. Poszłam. Ale za ledwie z jakimś facetem walca zaczęłam tańczyć, przypomniałam sobie, że tuż zaraz ty mieszkasz, Jadwisiu, i może w tej chwili myśl tęskną posyłasz do... Wiesz o czym mówię. Głupio mi się zrobiło, ochota odpadła. Podziękowałam mojemu kawalerowi, tym, z którymi miałam tańczyć kontredansa i jeszcze jakieś mazury, powiedziałam, ażeby się sobie poszukali tancerki—ubrałam się i opuszczając zdziwione towarzystwo, tu przyszlam. Dobrze, że jeszcze nie spałaś.

— O, moja ty pocziwa! — zawołała Jadwiga— — Pogawędzimy więc chwileczkę i Janczewska ciebie do Konopków odprowadzi.

— Do Konopków?... Nie myślę wcale o tańcach. Nagadam się z tobą, potem dasz mi poduszkę i prześpię się w salonie u was.

— Nie lubisz tańczyć?

— Nie—

— Bawisz się jednak podczas tegorocznego karnawału?

— Nie byłam nigdzie. Namówiono mnie raz pierwszy do Konopków—ale, jak widzisz, i tam się nie udało. Nie dla psa kiełbasa!

— Marynia się bawi?

— Codziennie—

— I ty zostajesz sama jedna w domu?

— Do Rzutkiewiczów idę i gadam z panem Pawłem.

Jadwidze serce drgnęło—

— Nie często musisz się z panem Pawłem widywać, przecie i on baluje.

— Nie—siedzi jak kret w swojej dziurze.

— Nie bywa nigdzie?—spytała Jadwiga—

— Nigdzie! nie przyjął żadnych zaprosin. Lubię tego draba.

— I dla czego... to?—szepnęła Jadwiga.

Helena zwróciła się do Janczewskiej.

— Ruszaj spać, bo widzę, że tobie oczy bielmem zachodzą...

Janczewska ruszyła ramionami i oddawszy dobranoc Jadwidze, wyszła, szepcząc pod nosem:

— Miał się hajdamaka urodzić, ale kogut zapiał i urodziła się Helena.

Po wyjściu Janczewskiej, Helena zwróciła się do Jadwigi.

— Paweł nie bywa nigdzie, dla tego, że ty nie bywasz.

Silne rumieńce wystąpiły na twarz panny Sośnickiej.

— Podejrzywasz go?...—szepnęła.

— Kocha się w tobie—

— Nie—nie, Helenko—to tobie się wydaje, tylko wydaje się,—rzekła szybko Jadwiga—

— Co wiem, to wiem,—odparła panna Kamencka.

— Zkądże wiesz o tem?

— Powiedział mi.

— Tobie?

— Tak.

— Jakże do tego przyszło?—przecież nie pytałaś go o to?

— Właśnie, że spytałam. Powiedziałam prosto w oczy, gdy kręcić zaczął: kochasz się pan w Jadwidze—i basta!

— A on?

— Tak! odpowiedział—ale jakim to głosem odpowiedział! Była tam miłość szalona i ból

bezgraniczny i rozpacz czarna w tym krótkim: tak! Powiem ci otwarcie, Jadziu, że gdyby znalazł się smarkacz jakiś, któryby mnie tak kochał jak Paweł ciebie, to, choćbym była narzeczona, rzucę sześciu Gustawów, na których czekam—potrzeba—rzekłabym do nich: „pisujcie do mnie na Berdyczów”—a do Pawła: „Masz makagige, Pawelku!”

Jadwiga nie odpowiadała nic—tylko serce jej biło mocno, tylko piers falowała silniej, tylko jakiś lekki zawrót poczuła w głowie. Po chwili otrząsała się z wrażeń doznanych i rzekła, jakby do siebie mówiła:

— Nie—nie... On mnie nie powinien kochać, nie może kochać, nie ma prawa kochać!

— Tere fere kuku!—odpowiedziała Helena.— O tem wszystkiem szeroko w swoim czasie Dawid pisał. Serce nie sługa, prawa swoje ma a lata nie stoją...

— Biegną...—szepnęła Jadwiga.

— I nie znają drogi powrotnej,—dodała Helena.—A biegnąc, zostawiają poza sobą tęczę, róże i różne perełki, z których szczęście się składa.

Jadwiga drżała lekko.

— A ty nie kochasz Pawła?—spytała nagle Helena.

Jadwiga drgnęła, jakby kto kolec w piers jej utkwiał.

— Czekam powrotu pana Gustawa— — szepnęła.

— Często masz listy?

— Często być nie mogą—miesiące trzeba czekać, czasami długie miesiące..

— Czule pisze?—

Jadwiga wydobyła z szuflady list jeden i podała go w milczeniu Helenie. Helena rozwinęła cienki papier, zaczęła czytać, szepejąc półgłosem wyrazy, które jej uwagę zwróciły—

„Stoisz mi zawsze w pamięci, sliczna, młoda, z gorącemi ust koralami, na które w lubem upojeniu ostatni, przed wyjazdem, pocałunek złożyłem. Czekam chwili, w której zobaczę ciebie taką, jaką rzuciłem. Czy wiesz, że kiedy myślę o tobie, czuję zapach warkoczów twoich, marzenie mnie aż do was unosi i widzę ciebie tak jasno, jakbyś żywa przedemną stała.”

Helena opuściła na kolana rękę z listem—

— Sliczna! młoda!...—rzekła— W pamięci pana Gustawa stoisz ty—dawna Jadwisia... a jakim-że on jest w twojej pamięci?

Jadwiga trzęsącą się ręką podała dawną fotografię ukochanego.

— Sliczny! młody!...—znowu rzekła Helena.— Ciekawa jestem, gdy jeszcze lat kilka upłynie i—zobaczycie się... czy pośród was się nie wciśnie jakiś duch-psotnik i nie zapyta się was: A poznajecie się teraz?...

— Dla czego ty to mówisz, Heleno?—złamanym głosem spytała Jadwiga.

— Inną ciebie Gustaw a inną ciebie Paweł poznał... Trochę zbladłaś, zmizerniałaś trochę... Ja, widząc cię codziennie prawie, dostrzegłam jednak tę zmianę, ale dla mnie jesteś ta sama jeszcze, jaką byłaś wczoraj, zawczoraj. Lecz panu Gustawowi ty, a i on tobie—inaczej się przedstawicie. Mając dawny obraz w duszy, ludzicie się, że zmiany żadne nie zaszły—lecz, gdy się po długich niewidzenia latach zobaczycie—strach was ogarnie... Uczujecie się tak obcymi, jak tego dziś nie przypuszczacie jeszcze. A młodość upływa, wdzięk licia gasnąć musi a kwiat choć nie zerwany—wiednąć... To prawo natury!...

Umilkła—i spojrzła na Jadwigę.

Jadwiga blada była, z oczu, kropla po kropli spływały łzy duże. W łzach tych i bladości nie

rozrzewnienie znać było, nie ból nawet, lecz strach, o którym wspomniała Helena.

Po chwili, która może wiekiem wydała się biednej kochance Gustawa, Jadwiga podniosła oczy na Helenę i spytała:

— Dla czego ty mnie za serce targasz?

— Żal mi Pawła,—odpowiedziała Helena.

— A tamtego ci nie żal?

— Wróci—nie wróci...—szepnęła panna Kamencka.—A tu ten zwaryować może.

— Nie męcz!—jęknęła Jadwiga, ujmując dłonie przyjaciółki—

— Widzisz, Jadwisiu—kto wie, czy w słowach tego listu, w tych wspomnieniach o piękności i młodości twojej, nie jest, jakby delikatne zwolnienie ciebie z danego przyrzeczenia. Po co ten pan Gustaw mówi o tem? czy nie wie, że, choćbyś nie wiem jak piękną stanęłaś przed nim, nie będziesz tą dawną Jadwigą, której warkoczów zapach upajały młodego zapaleńca? Może on sam chce byś go ze słowa zwolniła? nie może tylko, jako mężczyzna—wystąpić pierwszy.... Nie mówiłabym tak do ciebie—gdybym wiedziała, że w sercu twojem pan Gustaw, dotąd jeszcze jako pan samowładny, panuje. Nie—to nieprawda! Zaprzeczysz mi słowami—ale wyraz twarzy potwierdzi. Tron podważony, miejsce samowładnego króla—jeżeli nie zajął zupełnie, to znaczną część już zajął—Paweł. Ta pewność—ośmieliła mnie do wypowiedzenia przed tobą to, o czem ty sama nieraz myślałaś trwożnie. Paweł i ty—kochacie się!...

I znowu umilkła i znowu chwili odpowiedzi nie było ze strony Jadwigi.

— Kiedy rozmawiałaś o tem z panem Pawłem?

— Wczoraj.

— Mówiliście o czem jeszcze?...

— Mówiliśmy—

— Mogłabyś mnie powiedzieć, dlaczego on nie bywa u mnie? Czy miłość jego przemawia przez—zapomnienie?...

Helena uśmiechnęła się—

— Dałaś mu nadzieję?—spytała.

Jadwiga poruszyła głowę.

— Nie—rzekła cicho.

— Chcesz więc, ażeby bywał i własne serce rozkrwawiał? Czy myślisz, że widzieć ciebie i nie klęknąć przed tobą—to łatwo? A on musi słowa, wzrok i serce na uwięzi trzymać. To męka!

— To męka...—powtórzyła jak echo Jadwiga.

— Dla czego ja nie jestem tak piękna jak ty! dla czego nikt mnie tak nie pokocha nigdy!...

— Oleś ciebie nie kochał?

— Głowa barania!—rzekła Helena.

— O czem jeszcze mówiłaś z panem Pawłem?

— Zajmuje-ż to ciebie? Nie kochasz go—cóż cię to obchodzić może?... Ale, wierz mi Jadziu, że spokój twój, choć pobladał i usta drżą ci trochę, że spokój twój, powiadam, z jakim o panu Pawle i o panu Gustawie mówisz ze mną—pociesza mnie bardzo... Wspomnienia szarzeją, pamięć się zaciera...

Powstała.

— Janczewska musiała mi już posłać—dobranoc, ci Jadziu!...

Uściskała rękę milczącej Jadwigi i wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Jadwiga stała nieruchoma, drżąca i blada. Prawdą by było, by wspomnienia szarzały, zacierala się pamięć, by Gustaw w listach swych pragnął zwolnienia z danego przez siebie słowa? Paweł?

Czy ona kocha Pawła?...

Rzucone pytanie—gdzie jest odpowiedź?

Waha się—

Mijają lata, młodość, piękność... Zapominają ludzie o bólach największych, o przyrzeczeniach najświętszych... Gustaw może zapomniał—

Jeżeli tak— — dla czego ma Paweł cierpieć?

Słucha—myśli kołyszą się nad przepaścią jakąś—cień Pawła zarysowuje się przed nią.

Nagle krzyk wydarł się z jej piersi:

— Jezus—Maryja!...

I padła zemdlna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MYSŁI

Eliszki Krasnohorskiej.

Dwadzieścia pięć lat—połowa ludzkiego życia, jest w oceanie czasu małą tylko kropelką, ale w stuletniej dobie historii narodu, jest kwestyą wielkiej wagi, to też bezkarnie czasu tego marnować nie wolno, należy wyzyskać każdą chwilę na postępek tegoż narodu.

Walczy i uczmy pokonywać jarzmo surowości, pod którym jęczy tak mężczyzna jak i kobieta, a głównie brońmy słabe dziewczę przed grożącym niebezpieczeństwem: — siłą moralnej samodzielności, świadomością godności ludzkiej, pracą i oświatą. Oświatą dziewcząt ograniczymy upadek i grzech kobiety, upadek i zbrodnie mężczyzny; na oświacie fundujemy lepszą przyszłość czeskiego ludu i całego drogiego naszego narodu.

Potrzebę uczenia się obcych języków tłumaczy tem, że każdy język jest kluczem do kultury swego narodu; nie należy jednak zapominać, iż klucz od domu nie jest domem, a sam język nie daje jeszcze wykształcenia. Jeden klucz, który służy do otwierania własnej skrzyni obficie zaopatrzonej wyborowemi zapasami jest większym majątkiem, niż dziesięć innych, które nie wiemy co otwierać i nie mamy co zamykać.

Czyż język ojczysty nie jest tysiąc razy płynniejszy, poważniejszy i naturalniejszy niż najbardziej wyćwiczona gawęda francuzka lub niemiecka, która, bądź co bądź, przypomina pensję i z najwymowniejszej osoby robi uczennicę mniej więcej biegłą? Właśnie w potocznej mowie powinniśmy pokazać, jak znamy, czcimy i pielęgnujemy język ojczysty. Właśnie w potocznej mowie wykształconych kobiet powinien język ojczysty nabierać giętkości i wytworności. Czyż nasze panie nie poczuwają się do tego miłego obowiązku?

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 2-gi powieści, p. t. *Romans Królowej*. Przekład Z. S.

Treść: Eliszka Krasnohorska, przez Antoszkę (z rysunkiem).—W różach, przez El. Krasnohorską. Tłom. Szczęsna.—Eliza Krasnohorska. Krzyż w lesie. Tłom. Z. Morawska. — Przyjęcie na Parnas, napisała E. Krasnohorska, przełożyła Antoszka, — Kazimierz Gliński. Wrócił Powieść. (dalszy ciąg).—Myśli Krasnohorskiej.

Dodatek obejmuje: *Romans Królowej*, powieść, arkuś 2. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 26 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg
Дозволено Цензурою.—Варшава, 19 Ноября 1897 г.